ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 8-go Kwietnia 1897. Nr. 14.

„Swiatło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 centów. — Abonować można na każdej poczcie (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Ślązku (Beuthen O.-S.)

Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 15 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Nadworny zegarmistrz Papieża Syxtusa V.

Papież Syxtus V, przechodząc pewnego poranku w skromnej szacie Dominikana poboczną ulicą Apostolskiej swej stolicy, spostrzegł niepozorny sklep zegarmistrzowski. Godło ponad tym sklepem umieszczone wykazywało sztuczne najrozmaitszego rodzaju zegary, podczas kiedy w oknie wystawnem tylko kilka zwykłych zegarów się można było dopatrzeć, — słowem rzeczywistość zdolnościom tak okazale zachwalanym nie tylko nic nie odpowiadała, ale przeciwnie widoczną nędzę i brak zajęcia zdradzała.

Przed drzwiami domu stała młoda kobieta; smutek, niedostatek i troskę o chleb powszedni można było z twarzy jej wyczytać. Pięcioro lub sześcioro dzieci nędznie ubranych z wesołą hałaśliwością około niej się bawiło zapomniawszy na krótki czas o głodzie.

Syxtus zatrzymał się na chwilę, rozważając niby, czy wejść i przemówił do niewiasty:

— I jakaż to cena owych sztucznych zegarów?

— Nie znam się na tem — odpowiada niewiasta, — ale jeżeli Przewiel. Ojciec chwileczkę zaczekać zechce, mąż mój niezadługo powróci.

Wstąpił więc Papież do sklepu, usiadł i przypatrywał się z wielkiem zajęciem nadzwyczaj sztucznym częściom nie zupełnie jeszcze gotowego zegara. Zajęcie jego tem większe było, że będąc sam znawcą, natychmiast niezwykłą twórcy tych dzieł znajomość matematycznych i mechanicznych obrachowań poznał.

W tem wchodzi sam zegarmistrz, Pamfiliusz Boneki, mężczyzna około 40 lat liczący.

— I jakże? — zapytała się go cichym głosem kobieta.

— Wszystko daremnie, — odpowiedział, — wracam jak wyszedłem bez grosza pieniędzy.

— Litościwy Boże, — westchnęła, — czemże zaspokoję dziś głód dzieci?

— Zaufaj Bogu, — rzekł zegarmistrz — on nas nie opuści.

Bolesna ta rozprawa, chociaż cicho prowadzona nie uszła uszu Papieża.

W toku rozmowy z Pamfiliuszem Syxtus będąc sam znawcą sztuk pięknych, mechaniki i astronomii coraz to więcej się nad głęboką i gruntowną wiedzą mistrza zdumiewał.

— Przekonałem się, — rzekł do niego, — że w waszem rzemiośle niezwykłe posiadacie wiadomości, tem bardziej mnie dziwi, że dochody jakoś nie są odpowiednie.

— Niestety, Przewielebny Ojcze, lecz co do mnie, przyzwyczajonym już do niedostatku, bolesno mi jedynie, że dla dzieci mych chleba nie mam, że one razem z matką cierpieć muszą, bo często nie jestem w stanie głodu ich zaspokoić.

— Czy podobna, — zawołał Syxtus — aby człowiek w swym zawodzie biegły na mocy swego uzdolnienia nie mógł sobie odbiorców pozyskać?

— Jak świeca, aby światło na wszystkie strony rozszerzyć potrzebuje świecznika, tak talent, aby się rozwinąć potrzebuje podstawy, poparcia. W tej pobocznej ulicy ani kardynał, ani książę lub bogacz nie będzie sobie zegarmistrza poszukiwał. Towar narzucony traci na cenie, człowiek, który się z swemi zdolnościami narzuca, traci na godności i na wartości. Tak poszukuje naprzykład klasztór zakonu Zwiastowania Panny Maryi zegarmistrza mającego naprawić szkodę uderzeniem gromu w zegarze uczynioną. W zamiarze podjęcia się naprawienia owego zegara, dzieła sławnego mistrza Hieronima Blandinelego udałem się dziś do klasztoru, ale nadaremnie, gdyż podług ubioru mego i uli-

cy, w której mieszkam zdolności moje oceniono — jak zwykle fałszywie. Udałem się też raz z prośbą do Ojca świętego, aby mi pomógł, ale w Watykanie tak samo jak w pałacach książąt kościelnych i w klasztorach posłuchania nie znalazłem.

— A cóż to była za prośba do Papieża, — zapytał Syxtus.

— Prosiłem go o łaskę, którąby skarbu jego ani o talara nie zmniejszyła ani podatku poddanych jego o fenyg nie podwyższyła.

— Na czemże więc polegała?

— Oto na tem, aby Papież mój sklep urzędownie zwiedził w tym samym pochodzie w jakim zazwyczaj Kwirynał lub św. Maryą Minerwy odwiedza. Czyż ta moja prośba była przesadzoną lub czy się z uszanowaniem Ojcu świętemu winnem nie zgadzała? Gdyby była do rąk Jego doszła, z pewnością by jej był wysłuchał ale On tak samo jak inni monarchowie otoczony bywa radzcami, którzy przed nim prawdę tają, którzy...

— Ale nie zatają mu jej na długo, — przerwał Syxtus, zabierając się do opuszczenia sklepu. — Bądź przekonany, że Papież wkrótce się dowie, jak sekretarze jego twoją prośbę przyjęli.

Pożegnał się z zegarmistrzem, dodając mu otuchy i obiecując zarazem, że niezadługo powróci.

Na drugi dzień, kiedy dzwony kościelne głosiły wiernym Anioł Pański zajechała przed dom biednego Pamfiliusza przepyszna kareta papiezka otoczona niezliczonym tłumem ludu. Wychodzi z niej Ojciec święty i przestępując próg sklepu zegarmistrza z ujmucym uśmiechem do niego przemawia:

— Przychodzę, aby ci podać szczebel do szczęścia.

Pamfiliusz poznaje natychmiast w Papieżu zakonnika z dnia przeszłego, rzuca się do nóg jego i zawołał:

— Ojcze święty, za wielki to zaszczyt dla mego domu, szczęście moje na tej ziemi ustalone, nie zaznam więcej ani biedy, ani niedostatku.

— Tu oto, — odpowiedział Syxtus, — Kardynał Bibiano, przeor klasztoru Zwiastowania Panny Maryi, do ciebie z prośbą przychodzi, byś się naprawieniem uszkodzonego zegara zajął i daje 500 talarów zaliczki. Ja zaś zamawiam u ciebie publiczny zegar na plac Nowoński i mianuję cię moim zegarmistrzem nadwornym. Staraj stać się tego zaszczytu godnym, i pracuj nad pomnożeniem sławy życzliwego ci Papieża.

— Ojcze święty, — zawołał zegarmistrz, — będzie to celem mego życia.

I dotrzymał słowa, gdyż niejednem arcydziełem swej sztuki stolicę Apostolską zbogacił.

Ojciec i trzej synowie.*)

(Powieść gminna).

Żyje jeszcze dziś pewien stary człowiek, który przed kilku laty bardzo był ubogi; miał zaś ten człowiek trzech synów i wyżywić ich nie mógł. Zawołał tedy najstarszego i rzekł: »Jestem stary i chory, pracować już nie mogę, idź więc synu w świat na wędrówkę i służ u kogo; a gdy rok minie, powróć z zarobkiem do domu.«

Najstarszy syn usłuchał ojca; wziął tłomoczki z chlebem i powędrował. I wędrował już jeden dzień pod wielką bardzo górę, a kiedy za tę górę zaszedł, zobaczył staruszka, który pasł owce przy drodze, i staruszek zapytał go: »czy nie za służbą idziesz chłopysiu?«

»A za służbą, staruszku!« odpowiedział parobek.

»Więc służ u mnie i pilnuj mi tych owiec, aż wrócę« rzekł staruszek, oddał parobkowi swoją torbkę z maczugą i zniknął.

Parobek wziął torbę i maczugę, pilnował i pasł owce bardzo pilnie, a pasł je już rok cały, ale ten rok minął mu, jak jeden dzień. Aż wreszcie, kiedy rok minął, wraca staruszek i przynosi ze sobą mały stoliczek i mówi: »służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daję ten stolik; wyjdź z nim za górę i powiedz: stoliku, stoliku mój, otwórz się.«

Parobek wziął stolik, wyszedł za górę i powiedział: stoliku, stoliku mój, otwórz się! Ledwo co to wymówił; nakrył się stolik białym obrusem, a na stoliku stał talerz i leżały widelce i nóż, a wszystko było ze srebra; na innych zaś talerzach ze srebra, były najwyborniejsze potrawy.

Parobek nie namyślał się długo, ale zaczął jeść i smakowało mu bardzo, bo był głodny. A kiedy się już najadł do woli, rzekł: stoliku, stoliku mój,

*) Podaliśmy w „Świetle“ już kilka opowieści gminnych, które sobie lud opowiada. Cieszylibyśmy się, gdyby nasi szanowni Czytelnicy spisywali takie opowieści (baśnie, legendy, podania i t. p.) i nadsyłali do nas. Należy je tak spisać, jak opowiadane bywają, nie zmieniać, nie upiększać. Ogłosimy je w „Świetle“ a później gotowi jesteśmy wydać je w osobnej książce.

ŚWIATŁO

Pismo z obrazkami dla katolickich rodzin polskich.

Rok XI. Bytom G.-Ś., 8-go Kwietnia 1897. Nr. 14.

„Światło“ wychodzi co Czwartek. — Przedpłata kwartalna wynosi 1 markę (75 cent). — Abonować można na każdej poczce (Zeitungs-Preisliste t (Polnisch) 107), w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na G. Ślązku (Beuthen O.-S.) — OGŁOSZENIA przyjmują się za opłatą 15 fen. od 3-łamowego wiersza drobnym drukiem.

WALERYA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

ks. Antoniego de Waala.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wierna do śmierci.

Po skwarnem lecie nastała orzeźwiająca pora jesienna; obfity deszcz zrosił spieczoną ziemię rzymskiej Kampanii i sprawił, że łany okryły się świeżą zielenią; druga wiosna ożyła, obwijając pełne owoców kosze jesieni świeżemi wieńcami kwiatów.

W święto medytrynalii (11-go Października), gdy nowego wina po raz pierwszy kosztowano, i dwa dni później w święto fontynalii, w którem źródła i studnie kwiatami zdobiono, zeszło się dużo ludu wiejskiego w Rzymie. Chcąc się przypatrzyć zabawie ludu, przybyli także bogaci Rzymianie do miasta z letnich mieszkań zamiejskich.

Aradius Rufinus, prefekt czyli pierwszy burmistrz miasta Rzymu wrócił z żoną Sofronią i córką Waleryą do pałacu swego na wzgórzu Coelimontium, niedaleko Lateranu. W tej części miasta znajdowały się pałace najznakomitszych rodów szlacheckich a jeden był wspanialszy od drugiego; tam mieszkał Mariusz Maximus, Waleriusz Aradius, Symmachus i inni.

Aradius Rufinus służył najprzód pod Maxymianem, potem pod Konstantynem Chlorusem; Konstantyn i Maksencyusz byli w młodości jego towarzyszami broni. Przebywając następnie na dworze Dyoklecyana w Nikomedii w Małej Azyi, ożenił się z Sofronią, córką jednego z książąt tego kraju i miał z nią trzech synów i córkę. Wychowanie synów powierzył Laktancyuszowi Firmianowi, którego Dyoklecyan na nauczyciela wymowy do Nikomedyi powołał. Nie domyślił się, że Laktancyusz krótko potem chrześcianinem został, a ponieważ obowiązki służby Rufinowi rzadko kiedy w gronie rodziny przebywać pozwalały, przeto nauczyciel mógł zasiać w sercach dzieci pierwsze ziarna chrześciaństwa. Trzej synowie Rufina nie pozostali jednak zbyt długo pod wpływem Laktancyusza, bo ojciec wnet ich zabrał do obozu, aby ich zaprawiać do spraw wojskowych. Natomiast serce Waleryi okazało się wraźliwszem dla nauki chrześciańskiej tem więcej, że piastunka jej była chrześcianką. Krwawe edykta, wydane przez Dyoklecyana w r. 303 przeciwko chrześcianom, przyniosły jak wielu innym, tak i piastunce Waleryi śmierć męczeńską. Lecz zaledwie Dyoklecyan w r. 305 koronę złożył, skutkiem czego prześladowania nieco zwolniały, udała się Walerya potajemnie do kapłana chrześciańskiego, ażeby się lepiej w nauce chrześciańskiej wydosko-

nalić. W następującą Wielkanoc otrzymała chrzest św.

Gdy w roku 306 Maksencyusz we Włoszech panowaniem zawładnął, zaprosił towarzysza broni, znając go jako bardzo zdolnego człowieka, do Rzymu, i ofiarował mu stanowisko wysokie, schlebiające jego ambicyi. Rufinus sprowadził się z żoną i córką do stolicy, gdzie mu cesarz po kolei bardzo ważne urzędy powierzał, aż nakoniec na początku roku 312 prefektem miasta go zamianował, składając w ten sposób kierownictwo wszelkiej administracyi cywilnej w jego ręce.

Rufinus liczył wówczas nieco nad pięćdziesiąt lat, podczas gdy jego małżonka jeszcze czterdziestego roku nie ukończyła. Był on postaci wysokiej i wspaniałej, prawie żołnierskiej; Sofronia zaś odznaczała się pięknością, która w Rzymie tem więcej podpadała, ponieważ żona prefekta ubierała się w szaty, jakie znakomite niewiasty w jej ojczyźnie nosiły. Walerya, mająca obecnie szesnaście lat, była więcej do matki, niż do ojca podobna. Można ją było porównać z kwiatem, wyrosłym w ogrodzie Wschodu, a przesadzonym na Zachód. Czarne włosy okalały w bujnych splotach okrągłą twarzyczkę o delikatnych rysach a z ciemnych ócz patrzała szlachetna, czysta dusza pełna dziecięcej niewinności. Umysł jej był bardzo żywy a przytem posiadała niezwykłą energią woli. Nic dziwnego też, że stanowiła rozkosz i chlubę rodziców, którzy jedyne to w domu pozostałe dziecko swoje bardzo kochali. Dwaj synowie znajdowali się na dalekim wschodzie, u granicy państwa w wojsku cesarza Liciniusza, trzeci zaś zginął na polu bitwy.

Walerya chrześcianka nie życzyła sobie niczego goręcej, jak aby nakłonić najprzód matkę a następnie ojca do przyjęcia wiary chrzesciańskiej. Krótko po przybyciu do Rzymu, wyznała rodzicom, że jest chrześcianką, a jakkolwiek Rufinus zrazu był zdziwiony i rozgniewany, z miłości serdecznej do córki, niebawem się z tem pogodził.

Matka jej, Sofronia, przebywając najczęściej sama w domu, (bo mąż rozliczne miał zajęcia w swoim urzędzie), rozmawiała o nauce chrześciańskiej z córką. Było do tego tem więcej sposobności, ponieważ Sofrania nie chętnie brała udział w zabawach, szczególnie zaś w wspaniałych festynach wyprawianych przez cesarza w cesarskim pałacu. Ile razy jednak matka, nie mogąc się wymówić, na bale się udawała, córka z jej nieobecności korzystając, czas spędzała na modlitwie, aby Bóg raczył otworzyć serce i rozum matki w celu poznania prawdziwej wiary.

Przeszłej zimy poznały się obie z Ireną, która je nauczyła, jak wykonywać chrześciaństwo przez uczynki miłosierdzia. W biednych chatach mieszkańców części miasta, zwanych Suburrą i Trastevere, znano żonę i córkę prefekta miasta. Jakkolwiek stósunki zewnętrzne, godność i bogactwo wielką różnicę między Sofronią a Ireną, żyjącą w skromnych warunkach, stanowiły, to jednak Irena za pomocą swojej żywej wiary, gorącej miłości bliźniego i wielkiego doświadczenia wywierała pewien urok na obie niewiasty tak, iż o różnicy stanu całkiem zapominały. Walerya uskarzała się nieraz z pewną niecierpliwością przed Ireną, że matka jej tylko ze względu na urzędowe stanowisko męża nie mogła się na to zgodzić, aby uczyć się nauki chrześciańskiej i przygotowywać się do chrztu św. Irena pocieszała pobożne dziecko tem, że modły biednych osięgną upragniony skutek.

Jak to trudno możnym tego świata znaleść fórtkę do nieba! Względy i obowiązki stanu i publicznego stanowiska stanowią dzisiaj i stanowiły wówczas dla małżonki prefekta Rzymu nieprzebytą prawie przeszkodę, aby zostać chrześcianką. Rufinus wiedział, że żona jego skłania się ku chrześciaństwu, i chociaż ostatecznie acz z niechęcią zgodził się na przyjęcie nowej wiary przez córkę, żonie oświadczył z jak największą stanowczością, że gdyby tak samo uczyniła, natenczas natychmiast z nią rozwieść by się musiał. »Gdybym nie był

urzędnikiem« — tak mówił, — »mógłbym ci pozwolić na to, lecz żona pierwszego urzędnika miasta Rzymu nie może wyznawać innej wiary, jak tej, która jest wiarą rzymskiego cesarstwa«

Maksencyusz gdy wstąpił na tron, starał sobie miłość ludu rzymskiego pozyskać i przeto położył koniec prześladowaniu chrześcian. Niestety łagodność ta trwała tylko tak długo, aż panowanie własnemu ojcu wydarte, sobie upewnił. Gdy mianowicie wódz jego Rufus Egipt mu zdobył, i gdy cesarz Galeryusz w Maju 311 umarł, uważał Maksencyusz tron swój za pewny i wtedy dopiero pokazał się tem, czem był w rzeczywistości. Z przerażeniem i drżeniem patrzał Rzym codziennie na liczne dowody okrucieństwa, chciwości i najwyuzdańszej lekkomyślności, z jaką cesarz postępował sobie względem wielkich i małych, chrześcian i pogan. Gdy w r. 311 głód w stolicy nastał, Maksencyusz zachęcał żołnierzy, ażeby używali wszystkiego, rozrzucając i niszcząc, czego nie zjedzą, a gdy lud szemrał, i o chleb wołając, przed pałacem się zgromadził, cesarz rozkazał wojsku uderzyć na zgłodniałe tłumy i w ten sposób »głód ich na zawsze uśmierzyć«. Pieniędzy z podatków bardzo wielkich i z wielką surowością pobieranych używano dla wojska albo też na niepotrzebne budowy gmachów zbytkowych; jeszcze na drodze apijskiej cyrk nie był skończony, a już rozkazał cesarz wznosić na rynku wspaniałą halę na cześć zmarłego swego synka Romulusa, budowę taką że pod względem bogactwa wszelkie dotychczasowe gmachy miała zaćmić. Tak okrutnie gnębił Maksencyusz obywatelstwo miasta; szlachcie zaś zabierał majątki a właścicieli wtrącał do więzienia. Nienawiść jego zwróciła się szczególnie przeciwko chrześcianom. Papież Marcellus poniósł już w r. 310 śmierć męczeńską; następca jego, Euzebiusz, musiał rok później udać się na wygnanie do Sycylii, gdzie wkrótce potem umarł; gdyby nie wzgląd polityczny na cesarza Konstantyna, byłby tyrański cesarz odnowił krwawe edykta przeciwko chrześcianom. Dotąd jeszcze się obawiał tego uczynić, bo znał jego łagodniejsze względem chrześcian usposobienie i wielką sympatyą, jaką się Konstantyn w Rzymie cieszył.

Rufinus byłby chętnie pozostawił żonę z córką w pięknem mieszkaniu letniem nad brzegiem morza w Antium, choćby sam wrócił do Rzymu na początku jesieni. Lecz cesarz zaprosił na święto meditrynalii żony wysokiej szlachty rzymskiej a żona prefekta Rzymu nie mogła się od udziału wymówić.

W kilka dni potem siedział prefekt z żoną i córką w wspaniałym przedsionku na zachodniej stronie swego pałacu, zkąd było widać z dala góry albańskie z ich wioskami i pałacykami. Słońce właśnie zachodziło. Sofronia utonęła w myślach poważnych i smutnych, które ją już cały dzień trapiły. Zdawało jej się, że głos wewnętrzny ją woła gdzieś daleko od Rzymu i wielki niepokój ją ogarnął. Rozmawiając przez chwilę ż Waleryą o rzeczach religijnych, doznała nieco uspokojenia, skutkiem czego tem silniej ogarnęło ją pragnienie, aby nie tylko w sercu być chrześcianką, lecz i otwarcie to wyznać.

Gdy po wieczerzy niewolnik koszyk bardzo wielkich, czerwonych winogron na stół postawił a Walerya jedno z nich podjąwszy, unosić się zaczęła nad jego wielkością i pięknością, odezwała się Sofronia niezwykle poważnie w te słowa:

— Czyż ten owoc nie jest obrazem w cierpieniu i doświadczeniach chowanej duszy? Wyrosły na skalistym gruncie, do drzewa przywiązany, łzami sączący pod nożem ogrodnika, — takim oto musi zastać wiosenne słońce winograd, ażeby się nad nim ulitowało i najszlachetniejszemu owocowi wyrość na nim pozwoliło.

Walerya mimowoli położyła znowu winogrono w koszyczek; matka zaś uszczknąwszy jedną z czerwonych jagód, rozgniotła ją w palcach i rzekła:

— Z wierzchu czerwona powłoka, to, co wewnątrz jasne i czyste, a w około twardych ziarn winnych słodki sok, — tak samo jest też z cierpieniem.

W oczach Sofronii zabłysła łza; mąż jej zaś i córka siedzieli milcząc pełni smutku w sercu i patrzeli na nią.

Nazajutrz rano byłby Rufinus najchętniej wcale się z domu nie wydalał, nie chcąc pozostawiać żony, przejętej smutnemi przeczuciami, lecz w prefekturze miała się właśnie odbyć bardzo ważna narada, przy której musiał być koniecznie obecnym. Przyrzekł jednakowóż, że za godzinę powróci. Gdy wyszedł, Sofronia udała się do komnaty rogowej domu, zkąd mogła patrzeć na drogę ku prefekturze, którą mąż jej postępował. Widok ztamtąd był piękny. Wprost wznosił się wspaniały gmach amfiteatru Flawiana czyli Kolosseum, po za nim widać było świątynię Wenery i Romy, obok łuk tryumfalny Tytusa, na lewo wzgórze palatyńskie z przepysznymi pałacami cesarskimi. Jedna budowa wspanialsza od drugiej błyszczała tam w blaskach porannego słońca: świątynia Jowisza Statora, Septiconium Sewera i pałace Augusta, Tyberyusza i Kaliguli z lasem posągów i kolumn, oko pieszcząc bogatemi ozdobami ze złota i rzadkich marmurów. W oddali zaś widniał Kapitol z zamkiem i świątynią Jowisza.

Lecz oko Sofronii nie widziało tych wspaniałości; duch jej uleciał w dalekie strony, gdzie synowie jej byli, a niezmierna tęsknota ogarnęła jej serce; przypomniała sobie własną ojczyznę, krewnych i z westchnieniem podniosła załzawione oczy ku niebu.



JERZY, KSIĄŻĘ GRECKI,
dowódzca okrętów pod Kretą.

Tem zajęta nie spostrzegła podejrzanych postaci, zbliżających się ku jej pałacowi; nie zauważyła, jak niewolnicy w szatach cesarskiej służby do vestibulum czyli przedsionka zamkniętą lektykę wnieśli, podczas gdy zbrojni żołnierze w pobliskiej uliczce, jakby w zasadzce, się ustawili.

Z zamyślenia zbudziła Sofronią wiadomość, że cesarski urzędnik dworski życzy sobie w imieniu cesarza z nią mówić. W tej chwili też prawie poseł stanął przed nią.

Na widok tego wstrętnego człowieka z podłym uśmiechem na twarzy, wstrząsnęła się szlachetna niewiasta. Poseł zaś ukłonił jej się bardzo nisko i bez ogródki oświadczył, iż boski Maksencyusz, zachwycony jej pięknością i wdziękiem, życzy ją sobie za małżonkę. Lektyka czeka na dole, w której ją do pałacu cesarskiego niewolnicy zaniosą, albowiem rozkaz cesarski opiewa, że wybrana cesarza natychmiast ma przybyć do niego.

Sofronia struchlała, usłyszawszy te słowa. Twarz jej stała się bladą jak kreda i przez chwilę stała bez życia i czucia, skamieniała z trwogi, podobna do sarny, dostrzegającej nagle szakala, przed którym ujść nie zdoła i którego pazury ją za moment rozszarpią. Wzrok błagalny ku niebu dodał jej odwagi i stanowczym tonem odezwała się do posła:

— Donieś cesarzowi słowa jego służebniczki: Przysięgłam wierność mojemu małżonkowi Rufinowi, jestem chrześcian-

ką i dla tego nie mogę uczynić po woli cesarza.

Na to odrzekł wysłaniec cesarski:

— Węzły łączące cię dostojna pani z mężem, mogą być rozwiązane; nikt nie jest nieśmiertelnym, mówi przysłowie. Cesarz żąda posłuszeństwa od ciebie nie jako od chrześcianki, lecz jako od kobiety.

Sofrania wzdrygnęła się.

— Nie, — zawołała z oburzeniem, — nigdy, przenigdy!

— Natenczas wiedz, o pani, — odpowiedział na to poseł, że mam rozkaz, przyprowadzić cię bez zwłoki do cesarza — choćby gwałtem. Ażeby uniknąć wrzawy, obsadziłem cały pałac wojskiem, moi ludzie czekają w przedsionku.

Biedna niewiasta załamała rozpaczliwie ręce. Czyż nie ma ratunku?

Z głębi utrapionej i uciśnionej duszy zwróciła Sofronia wzrok pełen prośby ku niebu, — a potem jakby się godząc na życzenie cesarskie, odezwała się do posła:

— Daj mi tyle czasu, abym mogła włożyć szaty wspaniałe na siebie.

Wysłaniec skłonił się nisko na znak, że się zgadza, a gdy Sofronia wyszła, zaśmiał się szpetnie, mówiąc półgłosem:

— Podobna do innych i mówcie mi teraz o cnocie niewiast!

Upłynął kwadrans czasu, Sofronia się nie pokazywała. Poseł zaczekał jeszcze chwilę, aż zniecierpliwiony i przytem gniewu cesarskiego się lękający, udał się do dalszych komnat. Gdy doszedł do drzwi komnaty Sofronii, zawołał raz i drugi, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Czyżby mimo warty Sofornia tajemnem wyjściem uciekła?

Nie namyślając się dłużej, wszedł do komnaty. W tej samej chwili Sofrania przebiła sobie serce krótkim mieczykiem i padła na ziemię, mówiąc:

— Panie Jezu, w ręce twoje oddaję mego ducha!

Z przekleństwem na ustach wyszedł poseł cesarski z izby i opuścił pałac.

Historyk chrześciański, Euzebiusz, opowiadający to zdarzenie w opisie życia cesarza Konstantyna, dodaje: »Ta niewiasta udowodniła czynem nam obecnie żyjącym i tym, którzy po nas żyć będą, że czystości tylko u chrześcian nie można zwyciężyć, albowiem jest ona nawet silniejszą od śmierci.« Sofronia w rzeczy samej jeszcze chrześcianką nie była, lecz myśl, że jako pohańbiona nie może być godną stać się dzieckiem Kościoła, popchnęła ją do ostateczności.

Zaledwie wysłańcy cesarza przybyli do pałacu, uwiadomiła niewolnica o tem Waleryą, która zajęta była nauką. Wystraszone dziewczę natychmiast pobiegło do komnat matki, lecz żołnierze nie przepuścili jej, jeden z nich zaś powiedział, o co chodzi. Niezmierna trwoga ogarnęła biedną.

Skoro po pół godzinie poseł cesarski z żołnierzami opuścił pałac, odetchnęła Walerya w nadziei, że matce udało się widocznie obronić przed oprawcami.

Pobiegła ku komnacie Sofronii, ciągle wołając: Matko, mateczko!

Lecz jakiż straszny widok przedstawił się jej oczom. Boże miłosierny, matka nie żyje!

Walerya krzyknęła okropnie i padła bez życia. Niewolnice z krzykiem wielkim podjęły ją z ziemi i zaniosły na łoże.

Tymczasem Rufinus szybko załatwił się ze sprawami urzędowemi i pełen niepokoju wracał do domu. Już w przedsionku domyślił się, że nieszczęście stać się musiało, bo służba płakała i biadała. Cały strwożony pobiegł do komnaty Sofronii. Ach! jakże mocno wstrząsnął tym silnym mężem widok okropny. Zmożony wielką boleścią rzucił się obok zmarłej, podniósł głowę jej i zawołał:

— Sofronio, słodka żono, to nieprawda! Tyś nie umarła! Odezwij się do mnie, powiedz choć słowo! Raz jeden jeszcze jedyny, otwórz oczy!

Lecz napróżno wołał: Sofronia przestała żyć. Gdy spytał o córkę, i usłyszał, że pozostaje w omdleniu, udał się, gdzie leżała.

Cóż się to stało z tej różyczki różanej? Blada jak marmur, z zamkniętemi i jakby zapadłemi oczami, bez czucia, bez ruchu leży tam oto jego biedna dziecina. Rufinus podjął jej rękę i gorączkowo ściskał ją w swoich dłoniach, jakby się bał, ażeby mu i tej ostatniej pociechy śmierć nie zabrała. A gdyby to nie było omdlenie? Gdyby to była śmierć?...

Rufinus zachwiał się na tę myśl. Lecz niewolnice uspokoiły znękanego ojca zapewnieniem, że puls Waleryi bije a omdlenie niebawem minie. Należy jednak chorą zachować od wzruszeń.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CECHY.

Cechy są stowarzyszeniami rzemieślników jednej profesyi. Nazwa ich pochodzi zapewne od wyrazu niemieckiego die Zeche, zeichen, znak, znamię. Duch stowarzyszeń, który dzisiaj płynie z potrzeby jednoczenia kapitałów, przed dziesięciu wiekami źródło swoje posiadał w konieczności zdobywania sobie wspólną siłą praw ludzkich, politycznych, przywilejów i bezpieczeństwa podczas wojny. Cechy pojawiają się w Europie w wieku 10-tym i 11-tym. Ponieważ wszystkie większe miasta opasane były murami, cechy miały wyznaczone pewne części warowni, oddzielne baszty lub bramy, które swoim kosztem utrzymywały i od nieprzyjaciela broniły. Cała społeczność miast średniowiecznych składała się z samych stowarzyszeń cechowych. W Polsce pierwsze ustawy cechowe powstały ze zwyczajów i praktyk cudzoziemskich, które kupcy i rzemieślnicy niemieccy do Polski z sobą przynosili. Bractwa kupieckie (fraternitates) i cechy rzemieślnicze (contubernia) były już w Polsce od 13-go w., kiedy za małoletności Bolesława Wstydliwego i rządów namiestniczych Henryka Brodatego, najwięcej cudzoziemców w miastach polskich osiadło. Każdy cech składał się z majstrów czyli braci, z czeladników wyzwolonych czyli towarzyszów i z uczniów. Na czele majstrów stali zwykle dwaj panowie starsi czyli przysięgli, tym dopomagali stołowi i pisarz, który pospolicie nie był rzemieślnikiem. Na radach brackich rozstrzygano sprawy cechowe, skargi o złą robotę i karano winnych. Gdy król Ludwik węgierski wjeżdżał do Krakowa, wyszli przed niego na lasocką górę: urząd miejski krakowski z czerwonemi chorągwiami, który oddał mu klucze miasta, następnie cechy rzemieślników z własnemi chorągwiami i okazałymi na nich herbami. W wieku 16-tym cechy po wszystkich miastach polskich nadzwyczajnie się rozwinęły a krakowskie do takiej przyszły wziętości, że pewne zwierzchnictwo nad cechami innych miast posiadały. Cechy rzemieślnicze straciły swoje cudzoziemskie piętno w Polsce a zwłaszcza w miastach Mazowsza. Nie było w Polsce żadnych smutnych zaburzeń jak w innych krajach z powodu nadużyć cechowych. Kto sprawiedliwości nie znalazł u cechu, udawał się do magistratu, który sądził rzemieślnika bez apelacyi. Komisya dobrego porządku usunęła wiele rzeczy niewłaściwych. W urządzeniach cechów warszawskich znajdujemy więcej łagodne i ludzkie niż w zagranicznych urządzenia. Gdy gdzieindziej nie przyjmowano do terminu wątpliwie urodzonych, to w Polsce sieroty i podrzutków kazano uczyć rzemiosł, a za to występek kradzieży nie dozwalał wyzwolenia na czeladnika a tembardziej majstra. W księstwie Mazowieckiem, mianowicie w Warszawie, najdawniejszy ślad istnienia cechów mamy z r. 1282. Po wcieleniu Mazowsza do Korony Zygmunt I w r. 1527 prawa cechów warszawskich utwierdził i z pod zwierzchności krakowskich uwolnił. Miasto stara i nowa Warsza-

wa miały oddzielne magistraty i stowarzyszenia cechowe. Cech krawiecki w Warszawie zawiązał się jeszcze za Bolesława mazowieckiego w r. 1315. Cech szewców warszawskich posiadał liczne pamiątki. Książę Bolesław II-gi pozwolił im (r. 1318) sprzedawać obuwie w okręgu 10ciomilowym bez żadnej opłaty. Zabroniono tylko w roku 1571 nosić szewcom nożów i broni przy sobie. Biegłość kuśnierzy warszawskich znaną była już za książąt mazowieckich. Zygmunt August dozwolił im jeździć z Warszawy po wszystkich miastach koronnych, bez żadnej opłaty ceł i mostowego. Cech złotników warszawskich posiadał już w roku 1438 pięknie wyrzeźbioną srebrną pieczęć cechową. Cech rybacki w Warszawie posiada ustawę swoją spisaną po polsku w r. 1532. Cech szklarski połączony był z malarskim, bo szklarze musieli umieć malować na szkle okien obrazy. Piwowarom warszawskim oprócz piwa wareckiego i łowickiego, wszelkie inne przywożone do Warszawy wolno było zabierać. Zegar na wieży zamkowej zrobił Jan Sulej zegarmistrz warszawski za króla Władysława IV. Zwolnienia w opłatach cechowych dla niezamożnych ślusarzy dowodzą, że cechy warszawskie nie układały wcale swoich przepisów na wzorach cechów zagranicznych. Podług spisu cechów, dokonanego w r. 1781 przez Komisyę porządkową, znajdowało się tychże w Warszawie 33. Połączyli się wtedy stelmachy z kołodziejami, kowale z kotlarzami, złotnicy z zegarmistrzami. Rzemieślnicy warszawscy odznaczali się spokojem, nie dając nigdy powodu do zaburzeń lub zatargów z władzami i magistratem. Tylko na procesyach, w których cechy brały z chorągwiami swemi udział, zachodziły czasem gorszące spory z powodu nieporozumień o kolej starszeństwa, aż się musiał w to wdawać marszałek wiel. koronny. Cechy występowały najuroczyściej na procesyę Bożego Ciała, odprawiając także swoje pochody na powitanie wojsk lub wjazdy monarchów. W czasie chorób epidemicznych, np. w roku 1737 magistrat wkładał na cechy obowiązek dozorowania nieszczęśliwych. Za Stanisława Poniatowskiego, zachęty i nagrody, obstalunki i wzrastający zbytek ośmieliły rzemieślników warszawskich do mierzenia sił swoich z angielskiemi i francuskimi, a wspaniałe powozy, piękne zaprzęgi i siodła, gustowne obicia i wyroby jedwabne tutejsze nie ustępowały zagranicznym i sprzedawane były pod ich nazwą. Za to wskutek szerzącej się zmiany ubioru polskiego podupadły w całej Polsce cechy kuśnierzy, czapników, szmuklerzy, pasamoników, mieczników czyli płatnerzy i krawców polskiego stroju. Znakomity minister spraw wewnętrznych w Królestwie kongresowem Tadeusz Mostowski, przeprowadził w roku 1817 znaczne ulepszenia i zmiany w urządzeniu cechów i stósunków rzemieślniczych w Królestwie, uzupełnione w r. 1821 przez Komisyę spraw wewnętrznych i policyi. Cechów liczyła odtąd Warszawa 56, a w ich szeregu najliczniejszy zawsze i cieszący się powszechnem uznaniem dobroci wyrobu cech szewski. Nad każdą niemal rzeką, n. p. nad Sanem, przetrwały z wieków średnich do późnych czasów bractwa czyli cechy żeglarzy polskich złożone z szyprów, rotmanów, szkutników i flisów.

O NURKACH I ŻEGLUDZE PODWODNEJ.

Znajdują się, chociaż bardzo rzadko, ludzie tak ukształtowani od natury, iż mogą długi czas pozostać pod wodą. Oprócz tych wyjątków, niepodobna człowiekowi bez niebezpieczeństwa zostawać pod wodą dłużej, jak dwie minuty.

Trzeba więc było szukać sposobów, aby przedłużyć jego pobyt na dnie morza lub rzeki, dla uskutecznienia poszukiwań i prac, których bez tego byłoby rzymski gniewał się mocno, kiedy nic schwytać nie mógł. Pewnego dnia rozkazał nurkom swoim, ażeby do jego wędki przyczepiali ryby, które z sobą



PIERWSZY KROCZEK.

niepodobna wykonać. Starożytni mieli już nurków. Z tego powodu Pliniusz opowiada następującą okoliczność.

»Antoniusz i Kleopatra czasem bawili się łowieniem ryb na wędkę, i wódz przyniosą. Udało się to podejście, ale Kleopatra poznała się na niem. Kazała zawołać jeszcze zręczniejszego nurka i poleciła mu, aby przyczepił do wędki Antoniusza rybę soloną. Antoniusz po-

czuł, że wędka jest już obciążoną i wyciągnął ją z pośpiechem. Można sobie wyobrazić, jak się zmięszał, widząc zdobycz swoję«.

Wiadomo, że od niepamiętnych czasów połów pereł odbywa się za pomocą nurków, przyzwyczajonych od dzieciństwa do tej pracy. Chociaż nie mogą zostawać w wodzie dłużej nad dwie minuty, przez ten czas zbiorą jednakże znaczną ilość muszli perłowych. Łowią perły w morzu Śródziemnem, przy brzegach Szkocyi, Norwegii, ale najdoskonalsze znajdują się przy wyspie Ceylon.

Na kilka dni przed połowem nurki przysposabiają się do tej pracy, kilkakrotnie smarują ciało oliwą, biorą posilniejszą żywność, wykonywują zabobonne obrządki, które podług ich zdania chronią ich od napaści morskich potworów. Nurki narażają się na wielkie niebezpieczeństwa: jedni kaleczą się o skały, drugich pożerają ludojady.

Od dawna wynajdywano dla zmniejszenia tych niebezpieczeństw, rozmaite rzeczy ochronne mniej lub więcej trafne. Te wynalazki sięgają najdawniejszej starożytności.

Arystoteles mówi, że za jego czasów używano dzwonu nurkowego. W dziełach ojca Marsenne, drukowanych w r. 1634 znajduje się opisanie narzędzi używanych w tym celu. W rzeczywistości jednak dopiero od lat kilku liczne ulepszenia przyprowadziły te machiny do tego stopnia doskonałości, iż się stały rzeczywiście użytecznemi.

Pomiędzy tegoczesnemi machinami zwraca uwagę Spemer, wynalazek pewnego Anglika i Triton przez Fryderyka Deberry. Machiny te dozwalają na wolny ruch nurkom i za ich pomocą mogą oni zostawać w wodzie tak długo, jak im się podoba. Tryton składa się z narzędzia do oddychania, złożonego z dwóch mieszków. Te mieszki zamknięte są w pudełka, przez które woda nie przesiąknie i przymocowane na plecach nurka.

Powietrze rurkami prowadzone do pudełka, dochodzi do płuc za pomocą mieszków poruszanych lekkiem kołysaniem głowy; powietrze zużyte wychodzi inną rurką.

Te wynalazki są bardzo jeszcze niedokładne i trudne do użycia, i lepszy od nich jest dzwon nurkowy mimo jego niezmiernej ceny.

Dzwon ten jest z żelaza ulany i podobny do wierzchołka czworobocznej piramidy; dolna jego podstawa ma dwa metry długości, a metr i ćwierć szerokości, wysokość wewnętrzna wynosi półtora metra. Dwanaście dziur okrągłych znajduje się w jego wyższej powierzchni, w dziurach tych osadzone są szkła wypukłe. Za ich pomocą o 8 metrów pod wodą można tyle widzieć, ile potrzeba do uskutecznienia prac, wymagających pewnej doskonałości. Są wewnątrz dzwonu dwie ławki, na których siadają robotnicy; pierścienie, przez które przewleczone są sznury od narzędzi potrzebnych do roboty; sznury przywiązane do dwóch pierścieni, będących na zewnętrznej powierzchni dzwonu, dla przywiązania ciężarów, które chcą wyciągnąć z wody. Dzwon urządzony tym sposobem można zawiesić u rafy statku, który go przenosi tam, gdzie jest potrzebny; spuszczają go zwolna, a powietrze, które się w nim znajduje, nie wpuszcza wody.

Robotnicy mogą zatem siedzieć pod nim tak długo, dopóki nie zużyją wewnętrznego powietrza, coby wkrótce nastąpić mogło, gdyby za pomocą pompy naciskającej, poruszanej na powierzchni wody, rurka przyśrubowana do wyższej części dzwonu bezustannie nie odmieniała powietrza. Budując tę machinę poczyniono nowe ulepszenia: i tak np., pompę cisnącą, i rury do prowadzenia powietrza zastąpiono mniejszemi dzwonami zupełnie podobnemi do pierwszego, które spuszczają się z nim razem i służą na zbiornik powietrza. Gdy robotnik potrzebuje powietrza, wciąga je z tego dzwonu za pomocą bardzo krótkiej rurki, a powietrze zużyte wierzchem dzwonu wypuszcza. Tym samym sposobem mogą przysłać robotnikowi potrzebne materyały. Za pomocą takiej machiny postawiono na rzece Gironde,

mimo bardzo mocnego prądu wody, filary mostu w Bordeaux.

Po odkryciu Ameryki, Montezuma, cesarz Meksyku, wrzucił w jezioro wszystkie swoje skarby i naczynia złote i srebrne, aby ich nie dostali chciwi Hiszpanie. Miało się utworzyć w Anglii towarzystwo, które za pomocą dzwonu nurkowego, szukać będzie tych skarbów na dnie meksykańskiego jeziora. Nie wiadomo, czy ten zamiar przyszedł do skutku, ale niedawno dzwon nurkowy posłużył do wydobywania z morza ładunku okrętu angielskiego Thetys, który się rozbił przy brzegach Brazylii i w którym znajdowało się kilkanaście milionów piastrów. Prawie całą tę kwotę wydostano, chociaż rozproszone szczątki okrętu zagrzebane były prawie na trzydzieści stóp głęboko.

Takiego samego dzwonu użyto w porcie Cherbourg do rozmaitych budowli podwodnych, a nawet wysadzano prochem skały podwodne, niebezpieczne dla żeglugi — ale te wynalazki są niczem w porównaniu z tymi, które mają na celu żeglugę podwodną. Pierwsze doświadczenia w tym kierunku sięgają bardzo dawnego czasu. Przytoczymy tylko prace ojca Marsenne, które w 1634 roku radził używać miedzi do budowania okrętów zanurzających się w wodzie. Wymyślił także armaty i inne machiny wojenne, dla rozbijania okrętów nieprzyjacielskich.

Pomysły jego i innych nie odniosły żadnego skutku. Nieco później Fulton Amerykanin, który czynił w tym względzie rozmaite doświadczenia, zbudował z rozkazu Napoleona okręt podwodny. Opowiadają, że płynąc od jednego portu do drugiego, Fulton dawał znak trwogi nadbrzeżnym warowniom i zwodził statki kanonierskie, zanurzając się nagle, aby znowu pokazać się w innym kierunku. Jednakże jego statek potrzebował wiele ulepszeń, tymczasem rząd odmówił mu funduszów do dalszych doświadczeń i to było niemądrze. Napoleon z początku przyjął plany Fultona, ale potem nazwał go oszustem. Mimo takiej niesprawiedliwości, Fulton nie zaniedbał prac swoich. On pierwszy zbudował statki parowe, powszechnie teraz używane, czynił nowe doświadczenia względem żeglugi podwodnej i dokazał tego, iż zanurzywszy się na jednym ze swoich statków, przymocował do dna wielu starych okrętów petardy, których zapalenie uskuteczniało się za pomocą machiny zegarowej i kurka, jak u pistoletu.

Śmierć zaskoczyła go w roku 1815. Pracował wtedy nad budową okrętu zwanego Niemy, który miał zanurzyć się równo z powierzchnią wody. Człowiek jeden wychylając głowę nad pokład, byłby wskazywał drogę. Można było w cichości zbliżać się do okrętów nieprzyjacielskich i roztrzaskać je za pomocą podwodnych krótkich armat, których kula waży sto funtów.

W r. 1814 Fulton spróbował tego i skruszył pod wodą w odległości dwunastu stóp sztukę drzewa tak grubą, jak ściana największego okrętu.

Od owego czasu kapitan Johnston powtórzył w Anglii kosztem rządu doświadczenia Fultona i udało mu się to doskonale. Pewnego dnia zanurzył się pod wodę Tamizy, aby przyczepić petardę do dna starego nieużytego okrętu. Lecz nie mógł oddalić się od niego: kotwica jego statku zaplątała się z liną okrętu wystawionego na te doświadczenia. Johnson rzekł spokojnie do człowieka, który mu towarzyszył: »Mamy tylko dwie minuty do śmierci, jeśli się nie zdołamy odplątać«. Ten człowiek niedawno ożeniony łkał i rozpaczał, ale Johnson rzekł do niego: »Zdejm twój kaftan i zatknij nim dziurę, przez którą lina przechodzi«. Wtedy porwawszy topór, odciął linę, zostawił swoją kotwicę i odpłynął. Natychmiast potem petarda wybuchła, stary statek się roztrzaskał na tysiące kawałków.

Rozmaite próby czynione dotąd ograniczały się na budowaniu małych statków zanurzających się, które nie mogły odbywać długiej podróży i zanurzały się tylko równo z powierzchnią wody.

O KONIKU ŻOŁNIERSKIM.

Wspomnienie z wojny tureckiej z r. 1829.

Przyjaciel prawdziwy,
To mój konik siwy,
Dziwnej cnoty zwierzę;
On mnie towarzysze,
Jak niańka kołysze,
Jak placówka strzeże.
Po boru, po lesie,
Przez łąki, przez niwy,
Kto mnie tak poniesie,
Jak mój konik siwy?
Na Turków szeregi
Kto pierwszy poskoczy?
Kto zna ich przebiegi,
Kto pierwszy ich zoczy?
Kto piersią, kopyty
Rozbije te zgraje?
Kto pianą okryty,
Do boju wciąż staje,
Gdy trąbka zadzwoni
Pod lasem, na błoni...
Jeśli nie mój siwy
Konik długogrzywy?
To też tak go cenię,
Że za złota górę,
Za nic nie zamienię.

Jak się skończą boje,
W szczęsny dzionek błogi,
Nad rodzinne zdroje
Powrócimy z drogi...
Mój koniku, tobie
Będę owies kosić,
Zasypywać w żłobie,
Świeże sianko znosić;
Napasę na trawie,
We Wiśle wypławię...
A dziś, siwku miły,
Trza dobywać siły;
Dziś się żołnierz trudzi,
Dziś my oba chudzi.
Lecz nadzieja grzeje
Odwagę w ułanie,
I koń ma nadzieję,
Że u żłoba stanie.

Bo to mądre zwierzę,
Tyle że nie gada,
Jak przyjaciel strzeże
I jak żołnierz pada...
Kiedy kulka grzmotnie,
Obżałuje ciebie;
Nad grobem samotnie
Konik nóżką grzebie;
Oczy jakby łzawe,
W dół spuszczona głowa,
Istne serce prawe,
Tylko brak mu słowa...
I tylko od bolu,
Rży w dalekiem polu.

Gdy żołnierz zwycięża,
Trąba sławę głosi,
Wie jakiego męża
Na swym grzbiecie nosi.
Wędzidło wciąż w pianach,
Oko ogniem świeci,
Że po krwawych łanach
Mężne nosi dzieci.
Przyjdzie czas, mój druhu,
Że wrócim do chatki,
A cicho jak w uchu
Na dworze u matki.
Cichutko przed świtem
Na niebie blask zorzy,
Gdy brzękniesz kopytem,
Chata się otworzy,
I siostra jak łania
Wyskoczy z posłania,
I matka z alkierza
Patrzy, nie dowierza...

Może czas ten blizki,
Chwila niedaleka:
Mnie matki uściski,
Ciebie żłobek czeka;
Mnie ręka kochana
Powita znów tkliwie,
I ciebie co rana
Pogłaszcze po grzywie,
Pogłaszcze, napoi
I chleba da jeszcze.

Nie dziwcie się moi,
Że się koniem pieszczę,
Bo to druh prawdziwy,
Ten mój konik siwy.

Teofil Lenartowicz.

AKADEMIE WŁOŚCIAŃSKIE.

Dziwnem się u nas wydaje, gdy człowiek w starszym wieku bierze się do nauki czytania; dziwi się wielu, gdy im się mówi, że bez tej nauki człowiek mniej ma znaczenia, trudniej sobie na świecie radzi; dziwi się też wielu, gdy

widzą innych, jak w wieku nawet podeszłym czytają książki i gazety, z których wciąż naukę czerpią. Mamy jeszcze w swoim kraju takich, którzy się temu wszystkiemu dziwią... A, ot, zobaczmy, co się pod tym względem dzieje gdzieindziej.

Weźmy za przykład Danię.

Gdy jesień nadejdzie, gdy roboty w polu ustaną, w kraju tym włościanie i ich siostry przedewszystkiem myślą o uczęszczaniu do tak zwanych akademii. Każdy duńczyk w dzieciństwie swem chodził do szkoły; nauczył się tu czytać, pisać, rachować, poznaje dzieje ojczystego kraju, poznał w ogólności świat cały, posiadł więc naukę, niezbędną każdemu człowiekowi. Ale tego dla wieśniaka duńskiego za mało. Gdy doszedł do pełnoletności, gdy zatem umysł jego rozwinął się już, gdy trzeźwo zaczął patrzeć na świat, on pragnie się dalej uczyć, jako człowiek dojrzały; pragnie dokładniej poznać dzieje swego narodu; pragnie nabrać światłego poglądu na stósunki ludzkie; chce nauczyć się mierzyć te stósunki okiem znającego się na rzeczy człowieka, żeby tem lepiej wiedział, jak sam ma się zachowywać, jak pracować.

W tym to właśnie celu włościanie duńscy chodzą do swoich wiejskich akademii. Są to zakłady naukowe, w których znajduje się po kilku lub kilkunastu profesorów, wyższe posiadających wykształcenie; mieszczą się te zakłady zazwyczaj na wsi w kilku prostych budynkach, w których wszakże są księgozbiory i różne przybory, pomagające w nauce.

Obok tej szkoły, akademią zwanej, mieści się tu sala do ćwiczeń ciała, szkoła robót ręcznych i t. d. I do tych to właśnie akademii uczęszczają dorośli wieśniacy duńscy.

W jesieni akademia taka urządza wielkie zgromadzenie, na które przybywają tłumy, liczące nieraz po 2 tysiące wieśniaków. Przez kilka dni trwają tu odczyty i pogadanki o różnych sprawach publicznych, politycznych, historycznych, dotyczących moralności, gospodarki społecznej, rolnej; a każdy z obecnych może tu zabierać głos, swoje zdanie wypowiadać, lub stawać przed zgromadzonymi ze swoim odczytem.

Takich akademii ma obecnie Dania sześćdziesiąt sześć. W nich w pewnych terminach uczy się w powyższy sposób około 10 tysięcy wieśniaków lub wieśniaczek, gdy stale, rozumie się, w uczelni tej siedzi o wiele mniej.

A zważyć to należy, że podobne uczenie się nie przychodzi duńczykom darmo. Już więc przedewszystkiem owe akademie utrzymywane są ze składek dobrowolnych samych włościan; a składki te muszą być spore, skoro profesorzy pobierają tu i po tysiącu talarów rocznie. Prócz zaś tego wydatku, każdy, kto przybywa do akademi na kursa, sam się utrzymuje; sam więc płaci za prawo uczęszczania na naukę, sam płaci za życie, choć wielu przyjeżdża tu z tobołkami żywności.

Tak to więc duńczycy ani się dziwią, ani tembardziej nie żartują z tych współbraci, którzy w dojrzałym wieku zdążają do akademii, żeby swój umysł rozjaśnić i wzmocnić.

Ale też skutki z tego są w Danii wielkie, bo wewnętrzny rozkwit i wzrost bogactwa krajowego. Wszystkie łąki i pola zostały zdrenowane, piaski ruchome, których w Danii jest dużo, zostały umocnione przez tamy; jeziora i bagna duńczycy osuszyli, stepy zamienili w żyzne pola; na tem wszystkiem w ogóle zyskali oni trzy tysiące kwadrat. kilometrów, a dokonali tego, jak zresztą sami twierdzą, dzięki jedynie nauce, którą pobierają w szkołach w dzieciństwie, a potem w akademiach. Nauka wytworzyła w nich świadomość celu, do jakiego mają dążyć; dodała dzielności ich duchowi i oto mają to, czego pragnęli: dostatek w kraju.

Dodać tu należy, że w Danii, jak w niewielu krajach, wszystkie gazety, wychodzące w małych miastach i miasteczkach, wydają stowarzyszenia samych rolników, a włościanie pisma te własnemi zasilają pracami.

Opatrzność Boska czuwa.

Opowiadanie z czasów ostatniego prześladowania chrześcian w górach Libanon.

(Dokończenie.)

Mężczyzni, kobiety i dzieci padały na kolana, zanosząc do nieba żałosne krzyki. Nic jednak nie zdołało wzbudzić litości w okrutnikach. Mordowali oni nieszczęśliwych dopóki im ręce od znużenia nie ustały, podczas gdy tureckie wojsko i oficerowie z zimną krwią męczarniom umierających się przypatrywali. W środku zbitej kupy pomordowanych i umierających, leżała biedna wdowa. Przy niej klęczeli Maron, Judyta i Ali. Prawie już wszystkich wymordowano; kilku Druzów rzuciło się na nich, jako na ostatnie ofiary.

W tem krzyknął Ali na Druzów:

— Stójcie! Nie tykajcie ich; kobieta ta i syn jej uratowali waszą księżną, która tam oto w tym pałacu mieszka. Nie mordujcie przecież waszych własnych przyjaciół!

Krwi chciwi Druzowie zatrzymali się i zapytali:

— Więc wy nie jesteście chrześcianami?

— Tak, — odpowiedział Maron, — jesteśmy chrześcianami i chcemy umrzeć jako chrześcianie.

— W takim razie, nieprawdą jest, co tamten mówi — zawołał jeden z Druzów.

— Owszem, to prawda, jęknął jeden z leżących na ziemi ranionych Maronitów; z nienawiści zamierzałem zastrzelić waszą księżną, on jednak przeszkodził mi w tem.

— Giń przeto, psie, — zakrzyknął inny Druz i wepchnął umierającemu nóż w piersi.

— Ty zaś, — mówili inni do Marona, — zaniechaj wiary chrześciańskiej, zostań Mahometaninem, a wtedy ocalejesz ty i twoi.

— Nie chcę zostać Muzułmaninem — odparł Maron stanowczo.

— Nie chcesz? Natenczas w oczach twoich zamordujemy matkę i siostrę twoją, męcząc ją zwolna, ażeby więcej cierpiały.

To powiedziawszy, chwycili wdowę i Judytę za włosy, powalili je na ziemię, dobyli noży i wołali na Marona:

— Mów: Mahometowi i Hakemowi, prorokom Boga, niech będzie chwała, albo my uderzymy w serce twojej matki i siostry.

Wdowa skupiła wszystkie siły, odwróciła się do Marona i rzekła słabym głosem:

— Mój synu, nie powiedz tego! Spojrzyj ku niebu, dokąd my się udajemy i bądź silny.

Drżąc z boleści i miłosierdzia spoglądał Maron na matkę i siostrę, nad któremi zawisły noże Druzów, lecz nie wyrzekł słów innych, jak następujące:

— O Jezusie i Maryo, bądźcie mi na pomocy.

Była to okropna pokusa i straszliwa walka dla jego serca, — lecz gdy zamknąwszy oczy, oczekiwał ciosu, zesłał mu Pan Bóg nieoczekiwaną pomoc.

VII.

Nagle rozległy się głosy w oddali:

— Wstrzymajcie się! Wstrzymajcie się!

Zdziwieni Druzowie spojrzeli w tę stronę zkąd głosy dochodziły, a Maron otworzył także oczy. Od miasta nadciągała gromada zbrojnych Druzów na koniach, na ich czele zaś księżna Druzyjska. Z pałacu swego spostrzegła ona, jak uciekający Maronici przez Turków otoczeni i zrabowani zostali. Sądziła, że skoro im odbiorą wszystko, puszczą ich z życiem. Lecz omyliła się, bo Turcy utworzyli koło, w którem chrześcian zamknęli i dobywszy mieczy i noży zaczęli mordować bez litości. Na ten widok serce księżniczki zadrzało a głos wewnętrzny odezwał się do niej:

— Spiesz ratować tych, którzy ciebie uratowali! Prędzej, prędzej, bo w przeciwnym razie krew owych niewinnych spadnie na ciebie i twoje dziecko!

Wtedy księżna zwołała prędko swoję służbę i rozkazała, aby czemprędzej siadali na koń. Sama także dosiadła rumaka i czemprędzej udała się na miejsce mordów.

Druzowie zobaczywszy swoją księżną, odstąpili od mordowania i stanęli na uboczu. Księżna zaś ciągle powtarzała:

— Nie ważcie mi się dotknąć chrześcian jeszcze żyjących! Kto to uczyni, dozna strasznego gniewu mojego.

Wszyscy posłuchali. Księżna spoglądała z przerażeniem na liczne trupy chrześcian w około leżących. Potem odezwała się do morderców:

— Czy się nie wstydzicie zabijać bezbronnych niewiast i dzieci?

— Tak nam rozkazano, — odpowiedział na to jeden z Druzów.

— Kto wam dał taki rozkaz?

— Basza turecki.

— Hańba, hańba Turkom, którzy przyrzekli chrześcianom opiekę, — zawołała szlachetna księżna Druzyjska. Rozkazuję wam w imieniu mego małżonka, waszego księcia, jak najsurowiej, abyście się nie poważyli, uczynić jakąkolwiek krzywdę tym tu niewiastom i młodzieńcom. Oni mi uratowali życie, a przeto jest moją powinnością, ich życia bronić; pamiętajcie zatem, że znajdują się pod moją opieką.

Druzowie posłuchali i oddalili się, aby na uboczu rabować trupy pomordowanych. Z rozkazu księżnej, służba jej zeskoczywszy z koni, podniosła wdowę z ziemi celem zaprowadzenia jej do pałacu książęcego. Gdy Maron spostrzegł, że matce nie zagraża niebezpieczeństwo, upadł na kolana, a pochwyciwszy ręce matki, całując je i płacząc z radości, mówił:

— Matko, matko! Bóg niech będzie błogosławiony, za to, że zostaliście uratowani.

Także Judyta i Ali rozrzewnieni do głębi serca, tulili się do matki i sławili Boga. Wdowa uściskała syna, mówiąc z radością do niego:

— Maronie, synu drogi, dziękuję Bogu więcej za to, że okazałeś tyle stałości w tej najcięższej ze wszystkich pokus, niżeli za to, że żyję.

Tymczasem zbliżyła się też księżna Druzów i patrząc z litością i przyjaźnią na matkę i jej dzieci, rzekła:

— Nie bójcie się, lecz udajcie się z moją służbą do pałacu; tam będziecie bezpieczni.

Wdowa podziękowała gorącemi słowy szlachetnej pani a potem wszyscy udali się do pałacu. Wdowa była tak osłabiona, że ją było trzeba nieść. Gdy przechodzili koło gromady Druzów, usłyszeli, jak niektórzy z nich mówili:

— Patrzcie na tego młodzieńca; to odważny i mężny młodzieniec; szkoda, że jest psem chrześciańskim.

Gdy przybyli do pałacu, księżna, sama wskazała im komnaty na mieszkanie, a posiliwszy ich jadłem i napojem, oznajmiła im, co następuje:

— Kochani przyjaciele i wybawcy mojego dziecka, musicie kilka dni zostać u mnie, aż Druzowie ztąd odciągną; potem każę was odprowadzić do waszej ojczyzny.

Lecz to trwało jeszcze długo. Z gorzkim smutkiem patrzała wdowa z dziećmi z okien pałacu, jak setki domów chrześciańskich w Deir el Kamar przez dzikich Druzów podpalono, a uciekający mieszkańcy ich na ulicach pomordowani zostali. Okrutnicy wrzucali dzieci chrześciańskie w płomienie, w których marnie ginęły.

I księżna Druzyjska widziała te wszystkie okrucieństwa i często powtarzała do wdowy:

— Ubolewam jak najbardziej nad srogim losem chrześcian.

Na to odpowiadała wdowa:

— Ubolewajcie, dostojna pani, mniej nad chrześcianami, bo ci po krótkiem cierpieniu z tych płomieni do wiecznych radości niebieskich przejdą. Lecz więcej ubolewać i płakać należy nad mordercami, bo ci skoro czynów swoich

żałować nie będą, zostaną po śmierci wrzuceni w płomienie piekła.

Nad temi słowami zamyśliła się księżna bardzo głęboko, bo mąż jej i bracia znajdowali się pomiędzy mordercami. W następnych dniach przychodziła częściej do mieszkania wdowy, prosząc ją o objaśnienie wiary Maronitów. Z dnia na dzień księżna chętniej słuchała słów wdowy, nakoniec rzekła:

— Wasza religia jest piękna i pełna pociechy. Lecz ja się boję zostać chrześcianką, albowiem mąż by mnie wtenczas wypędził lub może nawet zabił.

Wtedy wdowa wskazała na obecnego Alego i rzekła:

— Patrzcie, szlachetna pani, i ten młodzieniec był Turkiem, lecz poznawszy piękność i prawdę chrześciaństwa, opuścił ojca i ojczyznę, ażeby chrześcianinem zostać.

Z podziwem spojrzała księżna na Alego i zapytała:

— Byliście Turkiem? Powiedźcie mi, co wam dało moc, aby wszystko opuścić, coście posiadali i nie bać się niebezpieczeństwa śmierci?

— Księżno, — odrzekł skromnie Ali, — Jezus Chrystus, syn Boga i Zbawiciel wszystkich ludzi, powiedział: Kto mnie wyzna przed ludźmi, tego i ja wyznam przed Ojcem moim niebieskim; a kto mnie się zaprze przed ludźmi, tego i ja się zaprę przed Ojcem moim niebieskim. Te słowa dodały mi siły, abym postąpił podług mego przekonania i został chrześcianinem, będę się modlił do Boga, aby i wam, siły takiej udzielić raczył.

Księżna potrząsnęła smutnie głową i przestała odtąd mówić o wierze chrześciańskiej. Po kilku dniach, gdy w Deir el Kamar nie było już chrześcian do mordowania, ani chrześciańskiego majątku do rabowania, opuścili Druzowie miasto na pół spustoszone. Wtedy zapytała się księżna wdowy:

— Dokąd chcecie, abym was odesłać kazała?

— Dostojna pani, — odpowiedziała wdowa, — nie możemy już powrócić do ojczyzny, bo nasz dom zniszczony, a nasz majątek zrabowany. Każ nas odprowadzić nad morze do Aleksandrety; tam mieszkają nasi współwyznawcy i tam też będziemy w spokoju mogli przebywać.

Księżna spełniła życzenie wdowy. Zaopatrzywszy wszystkich w szaty, pieniądze i obdarzywszy ich podarunkami, dodała im starego sługę wiernego jako przewodnika. Przy pożegnaniu uściskała wdowę i Judytę, podała rękę Alemu i Maronowi i rzekła:

— Módlcie się za mnie, za moje dziecko i mego męża, ażebyśmy się nie dostali w wieczne płomienie piekła.

Wdowa z dziećmi obiecała to uczynić i podziękowawszy za ochronę i podarunki, udała się bocznemi drogami przez góry ku północy. Po kilku dniach przybyli do Aleksandrety nad brzeg morski. Tu wynajęli sobie blisko portu za pieniądze otrzymane od księżnej domek, zkąd od przodu widzieli niebieskozielone morze, z przeciwnej strony zaś śniegiem okryte góry Libanon. Wdowa z Judytą zarabiały sobie na chleb szyciem i haftowaniem, w czem obie celowały. Maron zaś z Alim, nie mając chwilowo innego sposobu ani pieniędzy na większą sprawę, kupili muła i rozwozili na nim świeżą wodę źródlaną z pobliskich gór po mieście. Tak żyli w spokoju i zadowoleniu. Wieczorem po pracy siadywali przed domkiem, patrząc na piękne i tęsknoty pełne morze. Wtedy wspominali o przebytych cierpieniach i niebezpieczeństwach, o łasce Boskiej, jakiej doznali, a także i o szlachetnej księżnej, która im życie ocaliła; przy tem modlili się za nią i za jej dziecko, aby się Bóg nad niemi zlitować raczył i nie dał im zginąć na wieki.

KONIEC.

FRASZKI.

* **W szpitalu.** Mój kochany, nie ma rady, tylko musimy ci wstawić szklanne oko.

— To się nie opłaci, panie konsyljarzu.

— Jakto się nie opłaci?

— No, bo jeżeli moje własne pięściami wybili, to tem bardziej szklanne stłuką zaraz.

* **No,** i cóż Walek? Ten stary ślusarz Mikołaj nie chce podobno dać ci córki?

— A, nie; peda co ja złodziej, mój starszy brat złodziej, a on z juchtami w pokrewieństwo wchodzić nie chce. Jaki rystokrata, phi!

— Oj, głupi frajer z niego! Alboby to taki ślusarz był na świecie potrzebny, żeby nie my złodzieje!

* **Przed ożenkiem.** — Cóżeś się tak zamyślił, Wojtek?...

— A jakżeż nie mam myśleć... tatulo i matula chcą, żebym się ożenił z Magdą...

— A ty nie masz chęci?

— Na Magdę chęć mam, bo niczego dziewucha; tylko na to krówsko, co za nią dają, nie mam chęci, bo kaducznie chuda...

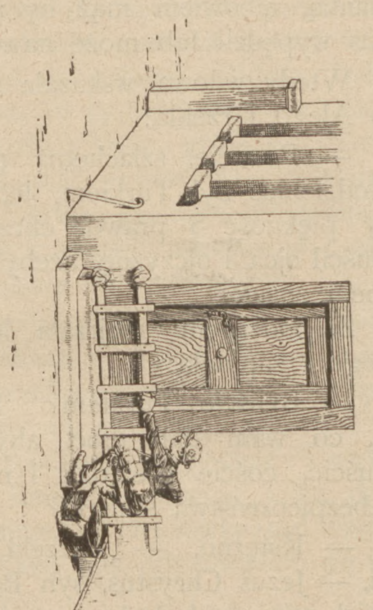
* **Lokaj** państwa Kukasińskich podaje list w ręku.

Pan: Pamiętaj na drugi raz podawać mi zawsze na tacy.

Lokaj: Dobrze, jaśnie panie.

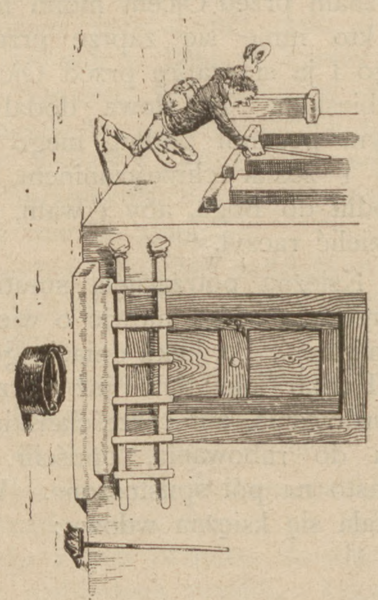
Pan: Teraz przynieś mi buty.

Lokaj: Także na tacy?



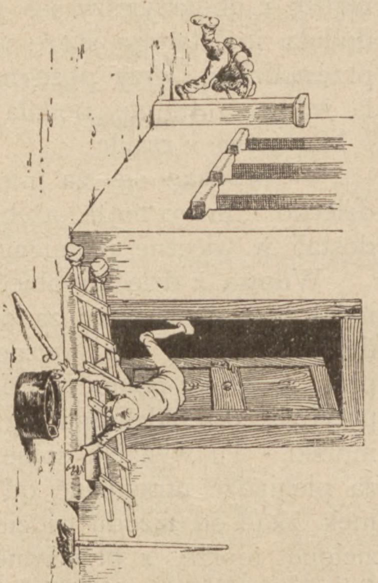
5.

Przy ścianie stała drabka i kociełek ze smołą. Bierze więc Jacek drabkę, kładzie ją w poprzek drzwi, zastawiając w ten sposób sidła na celnika.



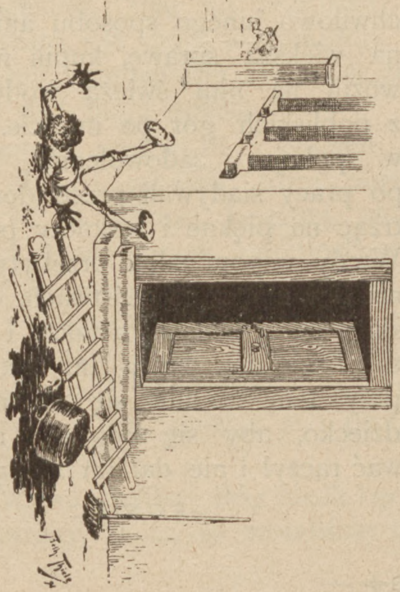
6.

Gdy i kociełek ze smołą Jacek wprost wyjścia postawił podchodzi do okna i krzyczy i wygraża panu celnikowi.



7.

Celnik rozgniewany wypada z pomieszkania a Jacek w nogi. Naraz o rety! pan celnik przewraca się przez drabkę i wpada głową wprost w kociełek ze smołą.



8.

Jacek pędzi a pędzi, śmiejąc i ciesząc się w duchu, że panu celnikowi w Mysichkiszkach takiego figla wypłatał. Tymczasem posmolony pan celnik leżąc na ziemi z zadartemi do góry nogami wymyśla co się zmieści na filuta Jacka.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Ś. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

zamknij się! — tak go bowiem nauczył staruszek. Ledwo co też wymówił, już znowu stolik stał próżny i nic na nim niebyło.

Wziął go potem na plecy i szedł dalej, ale noc była blisko, parobek zaś zmęczył się długą drogą, wstąpił na nocleg do gospody, która stała przy drodze.

Kiedy do tej gospody wstąpił, zobaczył tam wielu ludzi; bał się więc aby mu kto stolika nie ukradł i oddał go gospodyni do schowania.

Gospodyni ta, była to już bardzo stara kobieta, więc też była mądra. Tak sobie tedy myślała: dla czego nosi parobek ze sobą ten stolik? Przecież on nie wart najgorszego mego stołka, bo jest z prostej sosnowej deski, nawet nie malowany? A chociaż to takie ladaco, upominał mnie jednak parobek, abym go dobrze pod klucz schowała? Nie napróżno to! nie! Jest tu jakaś tajemnica!

Tak sobie myślała mądra gospodyni, poszła potem do osobnej komory i poczęła oglądać stolik z tej i z tej strony, i oglądała go bardzo pilnie. Miał zaś stolik ten szufladkę, która była zamknięta, a której mądra kobieta w żaden sposób otworzyć nie mogła, więc rzekła: mój dobry stoliku, otwórz mi się sam.

Ledwo co to wymówiła, okrył się stolik białym obrusem, i na stoliku był talerz i widelec i nóż ze srebra i były wyborne potrawy; wszystko jak pierwszą razą.

Odkryła więc gospodyni tajemnicę stolika, bo była bardzo mądra, ale przytem bardzo była zła; tak tedy do męża rzekła: stolika tego nie oddamy parobkowi, lecz zrób w nocy podobien stolik i ten mu oddamy.

Mąż jej począł zaraz robić stolik podobny, i robił go przez noc całą, nad ranem zaś skończył.

Kiedy już świtać poczęło, obudził się parobek i wstał. Gospodyni oddała mu stolik, który mąż jej zrobił w nocy; z nim poszedł dalej i w południe samo stanął w domu swoim, zkąd przed rokiem był wywędrował i zawołał ojca swego i braci, aby im pokazać swój zarobek: myślał bowiem że to jest ten sam stolik, który sobie u dziada wysłużył, więc rzekł: »Patrzcie, com sobie przez rok służby mojej zarobił. Nie potrzeba wam odtąd pracować na kawałek chleba, bo będziemy mieli co jeść i co pić.«

Ojciec i dwaj młodsi bracia myśleli, że zapewne w szufladce stolika są schowane jakie wielkie skarby, ale kiedy ją otworzyli i nic w niej nie było, dziwili się bardzo mowie parobka, który potem rzekł do stolika: stoliku, stoliku mój, otwórz się!

Ale stolik nie nakrył się tą razą i nie było na nim talerzy srebrnych. Rzekł więc drugi raz i trzeci raz to samo, ale gdy stolik nie nakrył się jednak, porąbał go rozgniewany i spalił.

Więc znowu ojciec miał w domu trzech synów, a był ubogi, wyżywić ich nie mógł. Zawołał zatem średniego, któremu było na imię Lampart, i rzekł do niego: »Jestem stary i chory, pracować już nie mogę; idź synu w świat na wędrówkę, a po roku wracaj z zarobkiem do domu. Zawsze mi byłeś jedyny, boś też najmędrszy z twych braci; nie daj się więc tak łatwo wygłupić.«

Lampart usłuchał ojca, wziął tłomoczki z chlebem na drogę i powędrował. I wędrował już jeden dzień, pod wielką bardzo górę, a za tą górą zobaczył staruszka, który pasł owce, przy drodze, i ten staruszek zapytał go także, czy idzie w służbę, i urządził Lamparta za owczarka, oddał mu torbę, maczugę i zniknął.

Lampart pasł przez rok cały, ale ten rok minął mu jak jeden dzień; po roku zaś wrócił staruszek i przyniósł ze sobą małego baranka, i rzekł: służyłeś mi mój parobku wiernie, za to ci daje tego baranka, wyjdź z nim za górę i powiedz: baranku, baranku mój otrząśnij się!«

Przypomniał sobie Lampart naukę ojcowską i los starszego brata, nie chciał tedy przystać na takie zasługi. Ale staruszek nic nie mówiąc, zniknął. A on bardzo ciekawy, co się też to zrobi. Wziął więc baranka i rzekł za górą: »baranku, baranku mój otrząśnij się!«

Ledwo co to wymówił, otrząsnął się baranek, a z baranka spadła srebrna wełna. Wziął on tę wełnę w torbę, a baranka wziął na plecy i szedł dalej, aż do wieczora. Noclegiem zaś stanął w tej samej gospodzie, gdzie przed rokiem brat jego nocował. Oddał także owej starej gospodyni swego baranka, aby go napasła mlekiem i owsem, i kazała mu w osobnej komorze podesłać miękkiego siana, zamknął potem drzwi od tej komory na kłódkę i klucz wziął do siebie.

(Dokończenie nastąpi.)

Praktyczne rady.

— **Nalewka z jarzębiny.** Bierze się jarzębinę przemarzłą, i parzy się gorącą wodą, aby tym sposobem skórka zmiękła i czysta została, poczem przesusza się ją na sicie, a następnie wsypuje w butelkę kwartową trzy czwarte części. Do tego dodaje się pół figi, pół daktyla, ze sześć rodzynków malagi, wszystko drobno pokrajane. Na dwie szklanki najlepszego spirytusu wziąść jedną szklankę wody przegotowanej zimnej i tem nalać całą zawartość w butelce. Nalewka ta stać powinna w cieple choćby trzy miesiące, poczem należy ją przefiltrować. Im dłużej stoi tem lepsza.

— **Kwiaty kwitnące** kwitną o wiele dłużej gdy się je po rozkwitnięciu postawi w miejsce chłodniejsze niżeli to, w którem rozkwitły.

— **Ochrona kur od robactwa** Podczas wysiadywania jaj częstokroć robactwo niepokoi kury, a winą tego jest złe urządzenie gniazd. Chcąc temu zaradzić, trzeba zrobić gniazdo z łoziny lub drutu i zawiesić je na ścianie. Najlepiej je oczyszczać zapomocą spalenia słomy wyścielającej gniazdo; środka tego nie można jednak stósować do gniazd z łoziny, które czyści się wrzącą wodą.

— **Środek na szczury.** Zamiast trucizny, której ofiarą padają nieraz pożyteczne zwierzęta domowe, lepiej użyć przeciw szczurom chlorku wapna. Nie znoszą one jego woni; dosyć jest nasypać w jamy i otwory nieco sproszkowanego lub zwilżonego wodą, żeby się pozbyć tych szkodników.

Rozmaitości.

* **Przepowiednie z księżyca.** Nie wszystkie wróżenia na słotę i pogodę z zachowania się ptastwa i innych zwierząt domowych, oraz owadów i niektórych roślin należą do bajek, przeciwnie, doświadczenie wiele z nich uznało za przepowiednie nieomylne, lepsze nieraz od wskazówek narzędzi fizycznych. Także fizyonomii księżyca lekceważyć nie można, ona bowiem zapowiada nam pogodę lub niepogodę z taką dokładnością, że ludzie co z przyrodą umieją rozmawiać, nigdy się na księżycu nie zawodzą. Podług zdania starych praktyków, jeżeli w trzy lub cztery dni po zmianie kwadry księżyc jest czysty i jasny, oznacza to stałą pogodę. Jeżeli drugiego lub trzeciego dnia pierwszej kwadry rogi księżyca są niewyraźne, a tarcz czerwona, stanowi to zapowiedź deszczu. Jeżeli na księżycu w pierwszej kwadrze niema czarnych plam, czas będzie piękny. Jeżeli księżyc w pełni jest czysty, bez plam i czerwonego koła, oznacza to pogodę; przeciwnie, czarne plamy na tarczy i kilka ciemnych kręgów w około niej, zapowiadają deszcz i słotę. W lecie, jeżeli księżyc wschodzący jest bardzo czerwony, będą panowały wielkie upały; jeżeli jasny, czas będzie piękny. Niebo czyste podczas pierwszej kwadry jest także zapowiedzią pogody.

* **Róża i jej woń.** Wiadomo jest, że niejako za ojczyznę róż uważaną powszechnie była Persya, a w szczególności okolica znana pod nazwą: »Doliny róż«. Dziś jednak krzew ten, do tego stopnia tam wyniszczał, że dziwną koleją rzeczy, szach perski sprowadza do swych ogrodów naodwrót róże z Europy. Gatunki, które się tam jeszcze zachowały, są już niższej wartości, tak pod względem zewnętrznego piękna jak i zapachu. Największą ilość róż uprawiają obecnie Francya i Bułgarya, pierwsza szczególniej w okolicach Nicei, druga przy stokach gór Bałkańskich. Nie jest to jednak hodowla, do której zabiera się ktoś, szczególniej zamiłowany w tym przepysznym kwiecie, zgromadzający do swych ogrodów okazy o przeróżnych barwach i woni, bo takich hodowców amatorów jest dużo w każdym zakątku Europy, i u nas ogrody nie rzadko są uposażone w najpiękniejsze okazy róż. Ale miejscowości, o których wyżej wspomnieliśmy, uprawiają tę roślinę w celach przemysłowych, to jest na wyrób olejku różanego, i dla tego dobierają gatunki posiadające najpiękniejszą i najdelikatniejszą woń, a wydające najwięcej olejku. Bułgarya hoduje przedewszystkiem różę czerwoną, znaną tam pod nazwą damasceny (Rosa damascaena) o zapachu nadzwyczaj delikatnym, we Francyi zaś szczególniejsze pierwszeństwo oddają pod tym względem centyfolii (Rosa centifolia). Gatunek ten zdobił dawniej w wielkiej ilości i nasze ogrody, dziś jednak niesłusznie ustąpić musiał pierwszeństwa różom tak zwanym sztamowym, które ogrodnicy umieją hodować w tysiącznych niemal odmianach kształtu, barwy i zapachu. Co do tego ostatniego przymiotu zauważyć nam szczególnej wypada, że żadna roślina nie odznacza się takiem bogactwem i rozmaitością jak właśnie ta królowa kwiatów. Są róże, które mają sobie tylko właściwy zapach, który nazwiemy różanym, inne wonią swą przypominają zapach fiołków, konwalii, rezedy, ananasów i herbaty. Co więcej, jeżeli badać będziemy kwiat róży o rozmaitych porach dnia, to przekonamy się, że ten sam kwiat inny ma zapach, gdy jeszcze lśni na nim rosa poranna, gdy pod południowemi promieniami słońca pochyli się niejako wspaniały jego kielich, a inny jeszcze nad wieczorem. Są to jednak subtelności, które wydelikacone tylko, że tak nazwiemy powonienie, umie jedynie rozróżnić.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Ś.